ROZMAITOŚCI.

Dnia 27 listopada, Nr. 48. roku 1847.

CIERPIENIA POETY.

(Dokończenie.)

Nowa przejażdżka trwała dwie godzin. Nakoniec stanął powóz przed obszernym budynkiem. Tu inspektor policyi wysiadającego poetę zdał marsowatemu furtyjanowi. Ten wziąwszy swego gościa ze sobą, prowadził go przez dziedziniec, a potém przez długą galeryję. Noc ciemna nie dozwalała Franciszkowi Billard rozeznać miejsca, w którém się znajdował.

»Zgaduję« — rzekł westchnąwszy ciężko — »jestem w więzieniu stanu. Długoż tu pozostanę?«

»To będzie zależało od zachowania się pana« — odpowiedział odźwierny lakonicznie.

»Przecież panowie nie zechcecie odebrać mi moję komedyję.«

»Nie.«

»Taką rzeczą król nie jest tak bardzo srogim dla mnie, jak mniemałem.«

Zamknięto poetę w samotnéj celi, gdzie w ponurych myślach noc przepędził. Rano otworzyło się jego więzienie, i pozwolono mu przejść się po galeryi, gdzie trzech innych spółwięźniów spotkał. Każdy uskarżał się na doznaną niesprawiedliwość i miał się za najnieszczęśliwszego. François Billard utrzymywał, iż z jego losem żadne cierpienie porównać się nie da, a w dowód tego oświadczył gotowość odczytania swojéj komedyi.

Tegoż samego dnia Jan Baptysta Brizard, jeden z najlepszych aktorów w rolach królów i ojców szlachetnych przy »Teatrze francuzkim«, wstał bardzo rano, ubrał się spieszno, wziął kartę opieczętowaną herbem jeneralnego namiestnika, i kazawszy zaprządz, rzekł do woźnicy przy wsiadaniu:

»Do Charenton.«

W Charenton, pod Paryżem, znajduje się jak wiadomo, duży królewski dom szalonych dla czterystu pacyjentów.

W drodze rozmyślał Brizard nad rolą króla Leara, którą w trajedyi Szekspira, świéżo dla teatru francuzkiego przez Ducisa przerobionej, miał po raz piérwszy odegrać. Przybywszy do Charenton, kazał się zaprowadzić do dyrektora zakładu.

»Przychodzę, mój panie« — rzekł do tegoż — »z kartą jeneralnego namiestnika, który mi pozwala wszystkich tutejszych chorych odwidzić. Jestem Brizard, mam grać rolę obłąkanego, i chcę wyuczyć się sztuki od samejże natury.«

Dyrektor przyjął wielkiego artystę z uszanowaniem, jakie jego sławie przynależało, i z uprzejmością, winną tak wysokiemu poleceniu.

»Jakichże chorych chesz pan naprzód odwidzić? Cichych czy gwałtownych?«

»Cichych.«

Jeden z dozorców zaprowadził dyrektora i artystę do sali, gdzie trzy osoby przyzwoitéj powierzchowności, wokoło czwartéj siedziały, która im jakiś rękopism z zapałem odczytywała. Po twarzach słuchających można było poznać, że byli mocno treścią zajęci. Lecz razem nastąpiła przerwa. Czytający i artysta poznawszy się nawzajem, wydali wykrzyk zdziwienia.

»Panie Billard! Cóż pan tu robisz!?«

»Panie Brizard! Cóż pana tu sprowadza!?«

»Piękną scenę wyprawiłeś pan wczoraj w wieczór w teatrze!«

»Piękny też wyrok wydałeś pan wczoraj o mojéj sztuce!«

»Czy wiész pan, iż musiano zbrojną siłę w pomoc przywołać, aby teatr z rozhukanéj wypróżnić publiczności?«

»A więc jest jeszcze sprawiedliwość u ludu — chociaż jéj niéma u króla!«

»Zdaje się, iż panu zawsze jeszcze jego komedyja głowę zawraca?« zapytał Brizard.

»Weź pan sobie stołek, panie Brizard, i sam się przekonaj o wrażeniu, jakie moje zapoznane przez pana dzieło na tych nieuprzedzonych słuchaczach sprawia; gdybyś był widział z jakiém uniesieniem ci panowie mojéj sztuce przyklaskiwali, jak mało nie pękali od śmiéchu, i nie tylko rękami lecz i nogami z radości trzepali! Dzięki niebu, są to piérwsi rozsądni ludzie, których w waszym Paryżu znalazłem.«

»Podobno pan nie wiész, gdzie jesteś?«

»Wiém tylko iż jestem w takiém miejscu, gdzie talent mój rzetelnie jest uznanym.«

»Więc dowiédz się, że jesteś w Charenton, w domu szalonych.«

Na te słowa wszyscy trzej słuchacze komedyi powstali razem z wielką powagą, i wezwali artystę do odpowiedzi, jakiém prawem on ich za obłąkanych miéć się poważył; gdy tymczasem poecie z przestrachu rękopism z rąk wypadł.

»To prawda, z tego można istotnie oszaléć!« krzyknął poeta, cisnąc sobie czoło obiedwiema rękami, jakby się lękał, aby mu jego poetyczne myśli z głowy nie uciekły.

»Uspokój się panie Billard« — rzekł Brizard — »jestto na wszelki wypadek zbyt ostra kara dla pana. Panie dyrektorze, nasz poeta jest ofiarą srogiéj pomyłki. Wyjąwszy jego bzika: że chce koniecznie miéć swoję komedyję za dzieło doskonałe; ma on zresztą zupełnie zdrowe zmysły. Ręczę panu za to, i uczynię wszelkie kroki do jego jaknajrychlejszego uwolnienia.«

Artysta dotrzymał słowa. Jeszcze tegoż samego wieczora wypuszczono biédnego poetę. Ale obłąkanie jest zaraźliwém, więc gdy François Billard z domu szalonych wychodził, rozrzewniło go mocno przypomnienie sobie owych entuzyjastów, którzy jego komedyję podziwiali, i westchnąwszy rzekł do siebie:

»Dzieci i waryjaci prawdę mówią. Chociaż pojedyńcze władze umysłowe tych panów poniekąd nadwerężonémi być mogły, przecież mieli oni zdrowy rozsądek. Szkoda wielka że mego piątego aktu nie słyszeli!«

Historyja poetycznego poborcy podatkowego znalazła wielki odgłos. Sześć margrabin i trzy księżne zaprosiły bohatéra do siebie, aby z własnych ust jego usłyszały opowiadanie doznanych cierpień. Oczywiście François Billard nie omieszkał tak pomyślnéj sposobności i odczytał dostojnym protektorkom, swego nieszczęśliwego »Zwodziciela.« Nié masz zapewne piękniejszéj i wdzięczniejszéj we Francyi roli, nad rolę prześladowanego. Od owéj skandalicznéj sceny w »Teatrze francuzkim« stał się młody poeta z prowincyi zajmującym przedmiotem rozmów powszechnych. Jego przygoda w domu szalonych, nadawała mu pozór męczennika talentu; najpiękniejsze rączki damskie plotły w Paryżu wieniec laurowy dla zapoznanego jenijusza.

Hrabina Dubarry opowiadała o tém królowi, a jego król. mość roześmiał się. To rzecz nie mała! Byłoto po raz piérwszy od dawnego już czasu A François Billard sprawił ten cud pożądany! Wnet pojawiły się i skutki tegoż cudu.

Książę Duras, marszałek Francyi, adjutant królewski i najwyższy dyrektor »Teatru francuzkiego« kazał przywołać do siebie poetę, i wyrzekł doń te upajające radością słowa:

»Panie Billard, nasi aktorowie omylili się w osądzeniu pańskiéj komedyi. Odczytasz pan jeszcze raz wydziałowi swo-

jego »Zwodziciela.« Będziesz témi dniami ze strony wydziału o to proszonym.«

Przytłoczony brzemieniem tego nagłego szczęścia, zgiął się poborca podatkowy w głęboki ukłon, i w nadmiarze radości zapomniał się tak dalece, że wyrzekł prawdę, którą rzadko u dworu słyszéć można:

»Monseigneur, pobłądzić jestto rzecz ludzka!«

»A pokrzywdzony talent wesprzéć — królewska!«

Na tém skończyło się posłuchanie.

»Pokrzywdzony talent wesprzeć rzecz królewska!«— zawołał sobie François Billard w drodze do swego pomieszkania, dokąd oszołomiały radością, zaledwie trafił. »A więc król wié o mojéj komedyi; jestto wolą jego król. mości, aby mój Zwodziciel był przedstawionym. Ha, zemsta moja nad aktorami jest daleko świetniejsza, niżelim się spodziéwał! Jakież oni miny stroić będą, gdy im moją komedyję po raz drugi w uszy zagrzmię! O, sprawiedliwy Ludwiku! Tak, zasługujesz na ten przydomek. Niech żyje król!«

Schody wiodące do jego czwartopiątrowego pokoju, byłyto stopnie do najwyższego szczęścia. Na stole znalazł osobiste, w najpochlebniejszych wyrazach ułożone zaprosiny na powtórne odczytanie »Zwodziciela«, mające odbyć się nazajutrz rano w obec wydziału teatralnego.

»Ha, teraz muszą mię sami prosić, gdy przedtém tyle razy na próżno do nich się nabiegałem!« — zawołał z miną tryjumfującą, a rozpalona krew gnała go szérokim krokiem tam i sam po pokoju. »Jakby też było, gdybym im kazał czekać? Gdybym jutro na odczyt się nie zgłosił? Niech na mnie czekają, niech mię proszą! Godzi się zastanowić się nad tém.«

Rzucił zapraszający bilet na stół, a teraz dopiéro wpadł mu w oczy drugi bilet, którego w zaślepieniu swojéj radości, bynajmniéj nie postrzegł. Rozpieczętował go spieszno i wyczytał:

»Kochany panie Billard!«

»Hm« — przerwał sobie poeta — »kto też tak poufnie do mnie pisze?« — a spojrzawszy ku podpisowi, zawołał: »Brizard! Mój wybawca z domu szalonych! Zapewne słyszał o mojéj łasce u dworu, i uprasza mię o wstawienie się za nim. No, ile w mojéj mocy będzie, uczynię chętnie. Zresztą ma on główną rolę w mojéj komedyi, a jutro — to jest: jeźli jeszcze namyślę się pójść tam jutro — powiém doń w zgromadzeniu: »Kochany przyjacielu, tę rolę napisałem umyślnie dla ciebie.« To mu pochlebi, a innych do złości przywiedzie. Ale co też on pisze?«

Brizard pisał:

»Przyjm pan dobrą radę od człowieka, który, jak mniema, dał panu dowody swego udziału w jego losie.«

»Prawda« — rzekł François Billard sam do siebie — »gdyby nie on, siedziałbym może jeszcze dotychczas w domu szalonych. Ale stój! Co za myśl! Gdybym też owym trzem panom w szpitalu wyjednał pozwolenie znajdywania się na piérwszém przedstawieniu mojéj komedyi? I Normandki policyjnego inspektora, któréj bilet bezpłatny przyrzekłem, także przepomnieć nie powinienem.«

Poczém jął czytać daléj;

»Nakazany jest powtórny odczyt pańskiéj komedyi.«

»Nakazany!« powtórzył poeta z tryjumfującą miną. »Nieinaczéj! Król się w to wmieszał; krol zpoza tego nakazu wygląda.« — A zpoza króla, nadmienimy tu w nawiasie, wyglądała pani Dubarry, a zpoza pani Dubarry, Bóg wié kto jeszcze więcéj wyglądał.

»Będziesz pan zaproszonym« — czytał François Billard daléj.

»O, już mię zaproszono, panie Brizard« — przerwał sam sobie. »Uznanie mojéj wartości szybszym postępuje krokiem, niż pan sądzisz. Nie przepomnę jednakże gorliwości, z jaką tę przyjemną wiadomość piérwszy mi chcesz udzielić.«

—»Atoli nie przychodź pan« — były dalsze słowa listu.

»Aha! czy i on mego jest zdania?«

—»Nie przychodź pan, przyjaciel przestrzega pana.«

»Przestrzega? Cóż to znaczy? Czy skrytobójców na mnie nastawiono?«

— »Komedyja pańska nie może się podobać; wierz pan zdaniu mojego długoletniego doświadczenia. Będzie ona przedstawioną, lecz niepomyślne jéj powodzenie zgubi pana w opinii publiczności, a to ostatnie rozczarowanie będzie boleśniejszém od poprzedniego. Spal pan rękopism, i powiedz, żeś go w gniewie w płomienie rzucił, i żadnego nié masz odpisu. O ile znam Paryż, o ile znam świat i ludzi: z popiołów pańskiego spalonego »Zwodziciela«, powstanie feniks poetycznéj sławy, która imię twoje potomności przekaże; gdy przeciwnie, przedstawieniem swojéj nieudałéj komedyi, narażasz się na niebezpieczeństwo podania się w śmieszność u spółczesnych. O twoim spalonym »Zwodzicielu« powiedzą, iż arcydzieło zginęło; heroizm twój wzbudzi podziwienie; będziesz pod obłoki wysławianym — przedstawionego zaś »Zwodziciela« wygwiżdżą niechybnie, a przekleństwo śmiészności, spadnie na głowę jego autora. To radzi panu szczéry przyjaciel Brizard.«

Wzrastające zdumienie poety było do nieopisania. François Billaud miał spalić swoję komodyję!

»Albo odwidziny w domu szalonych«— pomyślał sobie autor — »wywarły tak szkodliwy wpływ na biédnego Brizarda, że sam teraz pomieszanie cierpi, jak ten list jawnym tego dowodem; albo jestto niegodziwa intryga aktorska, a Brizard dopomaga reszcie swoich kolegów, aby mię uwieść do zniszczenia mojego »Zwodziciela«, który zapęwne wszystkim aktorom jest solą w oku.«

Brizard mógł był z równym skutkiem ująć lwicę za łapę, i rzec jéj: »Oddaj mi swoje lwiątko!« Jakoż otrzymał od Billarda list ostro najeżony, w którym obrażony poeta z dumą, jakgdyby pawiém piórem pisał, wyrażał się: »że dzieło jego, nawet w razie spalenia, nie zaginęłoby ani dla potomności ani dla spółczesnych, gdyż dzięki wielokrotnym odczytom, umié on je na pamięć. A zatém«— dodał wywdzięczając się przestrogą za przestrogę — »nawet skradzenie, zrabowanie rękopismu, chybiłoby swego celu, nie wydarłoby mu możności przedstawienia.«

* * *

Nazajutrz rano odbył się zapowiedziany odczyt. Poeta nie odmówił swéj obecności, a jednomyślnie wprzód odrzucona komedyja, została teraz jednomyślnie przyjęta. Nie miał też François Billard tym razem powodu do uskarzania się na nieuwagę aktorów; wszyscy nadstawiali chciwie ucha, nie wyjąwszy nawet pana Brizarda, lubo natężenie jego w téj mierze miało jeszcze inną przyczynę. Gdyż między czwartym a piątym aktem wziął artysta poetę na bok i rzekł do niego:

»Więc pan upiérasz się przy swojém postanowieniu?«

»Tak jest, mój panie.«

»Zapoznajesz moje przyjazne chęci...«

»Jak pan moję komedyję zapoznajesz. Tylko mojéj wdzięczności masz pan podziękować, że w odpowiedź na list jego nie przysłałem mu wyzwania. Ale przypomniałem sobie, iż pan masz główną rolę w mojéj komedyi.«

»A w razie zabicia mnie, możeby sztuka pana nie mogła być przedstawioną«— przejął Brizard z uśmiéchem, który przy wszelkiéj ironii miał coś ubolééwającego. »Biédny zaślepieńcze! Obaczymy się po piérwszém przedstawieniu.«

»Obaczymy się, jeźli złość z mego tryjumfu, nie zabije pana Ale przepraszam, wszak widzisz, wszyscy czekają z upragnieniem piątego aktu.«

Brizard ruszył ramionami i rzekł sam do siebie: »Dościga dla domu szalonych, a tym razem nie będę go mógł ocalić!«

Dnia 3 marca r. 1773 afisze »Teatru francuzkiego« oznajmiły po raz piérwszy:

»Le Suborneur, comédie en cinq actes et en vers.«

Jeźli Paryż, jak mówią, jest Francyją, tedy »Teatr francuzki« był owego wieczora Paryżem, gdyż cała kwintesencyja

paryzkiego świata ujrzała się tam wówczas skupioną. Ale im wyżéj powszechne oczekiwanie było nastrojone, tém straszniejszym był upadek okrzyczanéj komedyi. Przedstawienie usprawiedliwiło piérwszy wyrok aktorów, a parter, jak gwałtownie wprzódy za autorem przeciw artystom się oświadczał; tak stanowczo teraz nieszczęsną komedyję potępił. Uczyniono aktorom zadośćuczynienie, a śród burzy psyków, gwizdań, i tupotu, wyzionął »Zwodziciel« swoje chwilowe życie dramatyczne.

Esquirol, sławny paryzki lekarz obłąkanych, opowiada w swych pamiętnikach, iż r. 1808, zwidzając wszystkie domy szalonych we Francyi; postrzegł w Charenton obłąkanego starca, który swoim spółtowarzyszom odczytywał ustawicznie komedyję, będącą niegdyś powodem jego utraty zmysłów.

Tym starcem, tym obłąkanym — był François Billard.

Gutta Percha.

Są w naturze substancyje, które jakby umyślnie na to stworzone były, aby w rzeczach do odzieży i codziennego użytku należących, ważne zmiany sprawiały. Taką substancyją jest kauczuk, od kilku dziesiątek lat tak ogólnie upowszechniony; taką też jest *gutta percha*, któréj pojawienie się w Europie bardzo niedawnego czasu sięga, a która w jesieni r. 1843 przez londyńską *»Society of arts«* po raz piérwszy pod rozpoznanie wziętą została. Dr. Montgommerie opowiada historyję odkrycia tego materyjału w następujący sposób: »W ciągu mego pobytu w Singapore, r. 1843, postrzegłem w ręku pewnego malajskiego rąbacza drew, siekiérę, któréj trzono było z nieznanego mi wcale materyjału sporządzone. Zapytałem Małajczyka w téj mierze, a ten odpowiedział mi, że to jest *gutta percha*, substancyja, którą tylko przez jakiś czas w kipiącéj wodzie potrzymać i rozegrzać potrzeba, aby jéj wszelki dowolny kształt nadać. Staje się ona potém tak miękką i gibką jak glina, a ostygłszy, przybiéra znowuż dawną twardość i kruchość. Wziąłem siékierę natychmiast z sobą, i prosiłem rąbacza, aby mi jeszcze innych próbek téj *gutta-perchi* dostarczył. Niebawem zaś uczyniłem kilka doświadczeń, które mię przekonały, iżby z téj substancyi, gdyby ją w dostatecznéj ilości miéć można, mnogie korzyści wyprowadzić się dały.« Odkrycie to dostało się następnie do wiadomości biura sanitarnego w Kalkucie, później do towarzystwa londyńskiego, i wszędzie jaknajwiększą uwagę na się zwróciło. Zaczęto znaczne obstalunki materyjału tego zamawiać, i utworzyła się ztąd nowa gałąź handlu. Drzewo wydające z siebie *gutta-perchę*, należy według podania Hookera do rzędu sapotaceow, i rośnie w różnych stronach wyspy Singapore, jakoteż w gęstych borach na ostatniéj kończynie półwyspy malajskiéj. Dr. Montgommerie wezwał sławnego i przedsiębiorczego pana Brook, aby poczynił stosowne poszukiwania w Sarawak i na zachodniém wybrzeżu wyspy Borneo, a skutkiem tego była następna wiadomość p. Brooka: »W okolicach Sarawaku, gdzie własność soku tego drzewa jest nieznaną, nazywa się ono *niato*. Rośnie to drzewo dość wysoko, a średnica jego objętości miéwa do sześciu stóp Jest go podostatkiem w Sarawaku i prawdopobnie w całém Borneo.« Ma to być jedno z największych drzew w tych lasach, gdzie je napotykają. Na budulec jest ono za miękkie i porowate, lecz owoc jego wydaje gęsty oléj, który mieszkańcom za pożywienie służy. Przyrządza się *gutta percha* w następujący sposób: Scina się zwykle przepyszne pięćdziesięcioletnie, niekiedy nawet stoletnie drzewo, i odziéra się z niego korę, poczém ukryty wewnątrz sok, sam z uszkodzonéj powierzchni wypływa, i na powietrzu gęstnieje. Drzewo takowe wydaje w przecięciu 10 — 30 funtów *gutta-perchi*. Ten opaczny i nadzwyczajnie niszczący sposób uprawy, który przecież tak dalece jest w używaniu, iż roczny wywóz tego materyjału kilkaset ton wynosi; musi z czasem, jeźli się temu szyb-

ko nie zapobieży, to za sobą pociągnąć, że *gutta percha* przestanie być stałym przedmiotem handlu, i chyba tylko jako osobliwość w zbiorze miłośnika naturaliów albo w pracowni fabrykanta znajdować się będzie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa byłoby dość, nadciąć drzewo w kilku miejscach, aby sok w znacznéj wypływał obfitości, jakto z kauczukiem się dzieje.

Rozsyłana bywa *gutta percha* w dwojaki sposób, albo w cienkich pasach, lub też w zwojach. Pojedyncze pasy takie, są zwykle przezroczyste i nieco elastyczne, a kolor ich mieni się między białawo-żółtym a różowym. Preparowana w gorącéj wodzie, miewa *gutta percha* osobliwsze własności. Przy temperaturze 50° (Fahrenh.) jest twarda jak drzewo, lecz daje się zadrasnąć paznokciem. W masie wygląda jak róg, i nie gnie się. Wnętrze jéj bywa włókniste, a jéj opieranie się wszelkiemu tarciu, czyni ją bardzo przydatną do rękojęci przy narzędziach, które w ciągłém są używaniu. W miarę jak gorąco się wzmaga, mięknieje też *gutta percha*, a daleko prędzéj niż woda wrzéć zacznie, staje się owa twarda, krucha masa, jak wosk gibką. Można ją naówczas krajać nożem i znowu spajać, a spojone części trzymają się tak mocno razem, jakby ich nigdy nie rozdzielono. Jaką zresztą formę masie téj w podobnym stanie miękkości się nada, taką ona po ostygnieniu zachowa. Kula mająca cal w średnicy, zmiękła zupełnie w przeciągu dziesięciu minut w kipiącéj wodzie, a w pół godziny znowuż jak dawniéj stwardniała. Można *gutta-perchę* bez najmniejszego ubytku jéj własności, kilkokrotnie raz po raz rozegrzać i ostudzić. Z powodu wszelkiego braku elastyczności, jest ta substancyja wcale odmienną od kauczuku, od którego też nierównie jest ciąglejszą a przeto trwalszą. Mały cieniutki krążek dźwiga ciężar 48 funtów, i łamie się dopiéro pod 52 funtami. W naturalnym stanie trudno ją krajać albo piłować. Rozciągnięta w gorącu, nie ściąga się napowrot. Przyłożona do ognia, pali się bardzo jasno, jak kauczuk, i podobny też zapach wydaje.

Należy wspomnieć jeszcze nieco o rozmaitym sposobie używania *gutta perchi*. Rozczyn jéj służy do fabrykacyi nieprzemakalnych materyj. W twardym stanie bywa przez Malajczyków powszechnie na trzona do wszelakich narzędzi używaną, i jest w takim razie przydatniejszą od drzewa i rogu. Częstokroć może ona skórę zastąpić, o ile że ma w sobie wiele jéj własności, a nawet w niektórym względzie wielkie ma przed nią zalety. Jakoż wydano już w Anglii sześć patentów na różne sposoby użytkowania téj materyi, mianowicie robienia z niéj rur, butelek, podszywanie nią butów, sukień, dla nadania im wyższego stopnia nieprzemakalności, i t. d. Najważniejszy zaś patent uzyskał niejaki p. Hancock, który przez połączenie *gutta perchi* z kauczukiem i pewną inną materyją, *jintawan* zwaną; tworzy nową wcale substancyję, mogącą według upodobania, w miarę rozmaitych kombinacyi przy mieszaniu składowych części, być jużto elastyczną, i nieprzemakającą, jużto rzadką i hubkowatą, a w takim stanie, do materaców, krzeseł i t. p. przydatną, jużto wreszcie tak twardą, że jéj w takim stanie zamiast sprężyn stalowych a nawet zamiast słoniowéj kości używać można. Zmieszana z kwasem siarkowym wydaje *gutta percha* lak doskonały, jakoteż do stemplów przy wybijaniu medalów i monet służy. Największe jednak upowszechnienie znalazłaby ta materyja, gdyby jéj, jak to p. Hancock przyrzeka, używać można jako przymieszki do farb przy drukowaniu kolorowych materyj, przezco kolory tych druków miałyby też samę trwałość, co i materyje.

O kalendarzu stanisławowskim na rok 1848.

(*Nadesłane.*)

Z radością przypatrujemy się od lat kilku wzrastającemu w siły kalendarzowi stanisławowskiemu. Widać, że to nie prosta spekulacyja drukarska, widać tu myśl

i cel, do którego szanowny wydawca zdąża, i w tym roku o spory krok postąpił. Owo przysłowie: »koncept z kalendarza« stara się Jan Paweł Piller doborem i obrobieniem przedmiotów wygluzować z naszéj mowy. Czasy nasze twarde i poważne, więc i literatura kalendarza spoważniała. Już minęły te czasy, kiedy nawet taki mąż jak Tycho Brahe miał sobie obowiązkiem astronoma nadwornego przekazane, aby kalendarz napełniał bawidełkami astrologicznémi i rupieciem śmieszności nieśmiesznych. — Oprócz tych wszystkich rubryk, które w skład kalendarza wchodzić muszą, starannie zebranych i ułożonych; zajmie niezawodnie każdego krajowca opis krótki i treściwy starożytności Krakowa, niemniéj wiadomości historyczne o niektórych miastach zachodniego Podola, jakoto: Trembowli, Sambora, Tarnopola, Kałusza, Zaleszczyk i Złoczowa. Jestto ciąg dalszy krótkich historycznych notatek o miastach i miasteczkach naszych w przeszłym roku umieszczonych. Autor dzieła: »o handlu w Polsce« przysłużył się w tym roku: »Poradnikiem rolniczym dorękcznym« w którym każdy ziemianin, choćby analizujący sztuczny Liebiga nawóz, znajdzie pouczającego przewodnika. A wszystko to jaśnie, zwięźle i czelném polskiem słowem wyłożone. Dzięki autorowi, że nie gardził organem kalendarza, aby nim pieniądz ciężki z naukowéj mennicy rozmieniać na monetę drobną ku łatwiejszemu obiegowi w kraju. »Rzut oka na handel w monarchii austryjackiéj« daje krótki na liczbach oparty pogląd ruchu handlowego i wyciąga zeń zbawienne wnioski dla nadania mu większéj i korzystniejszéj rozległości. »Historyja wiadomości o ludu żydowskim« zwięźle i treściwie opowiadana, zaczyna od r. 535 przed Chrystusem, a kończąc na rozsypce Żydów po całym świecie i dając dokładną ich statystykę na całéj kuli ziemskiéj; kończy wymownie, że nieszczęście zmienia tylko imiona. »Statystyka krótka Europy« zawiéra nazwisko miasta stołecznego każdego państwa, jego rozległość, ludność, imię i nazwisko panującego, dzień urodzenia i wstąpienia na tron, nazwisko małżonki panującego i nazwisko następcy tronu i wiele innych rzeczy, na które ciekawość czytelników zaostrzamy; dowodzi to nie małéj skrzętności wydawcy i poważniejszego poglądu na rzeczy. Niech te słów kilka będą podzięką i zarazem zachętą szanownemu wydawcy; życzymy wszystkim, dla ich własnéj korzyści, żeby ten kalendarz był w ręku każdego, a dobrym chęciom p. Jana Pawła Pillera życzymy z serca jaknajlepszego powodzenia. Szczęść Boże!

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład **Piotra Pillera**) wyszedł nr. 47my i zawiera: 1) Uwagi z powodu zarazy ziemniaków. 2) Spostrzeżenia i doświadczenia nad chorobą ziemniaków; wyjątek z czasopisma niemieckiego. 3) Doniesienie listowne o zakładzie nawodniającym w Błażowie. 4) O nawodnianiu łąk. (Dokończenie.) 5) Rzecz o lasach dla właścicieli lasów i urzędników ich. (Ciąg dalszy). 6) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Wiadomość zagraniczna.

Berlin utracił témi czasy dwóch znakomitych europejskiego imienia mężów, to jest: Dieffenbacha, sławnego operatora, i Mendelssohna Bartholdego, jenijalnego kompozytora wielu dzieł muzycznych. Śmierć tych obu, w swojéj sztuce arcybiegłych mężów, pozostanie nadługo nieodżałowaną stratą.

Rhamadan, mahometański miesiąc postu zaczyna się 12 sierpnia. Pewien francuzki turzysta, który podówczas w Algierze przebywał, podaje ciekawy opis uroczystości, zachowywanych tamże przez ludność mohametańską z największą sumiennością. Około zachodu słońca oznajmia wystrzał działowy, iż wysłani przez Muftych i Kadych w góry Atlasu dostrzegacze, ujrzeli po raz piérwszy księżyc na nowiu. To dostrzeżenie bywa początkiem rhamadanu jako też każdego innego miesiąca. W razie niepogody, nie dozwalającéj okazać się księżycowi; rozpoczyna się miesiąc od chwili upłynienia trzydziestu dni poprzedniego miesiąca. Gdyż miesięcy o 31 dniach, nié masz u Mahometanów. Ztąd też i rhamadan nie zaczyna się wszędzie o jednym czasie, a mieszkający w dolinach wyznawcy proroka, zostają często o całą dobę w tyle za mieszkańcami górskiemi, których wyniosłe siedziby są niejako naturalnémi gwiazdarniami. Ruch mahometańskich dzielnic Algieru przedstawia około zachodu słońca w miesiącu rhamadanie, osobliwszy widok. Cała głodna i spragniona ludność przeciąga gromadnie po ulicach, a u każdego daje się widzieć jego poszczególna skłonność. Tam przed drzwiami maurytańskiéj kawiarni stoi nieuleczony zwolennik tytoniu, i trzyma w jednéj ręce nałożoną fajkę, w drugiéj rozżarzony węgiel w małych kleszczykach. Ówdzie jakiś spragniony nieborak przykłada dzban z wodą do ust spiekłych; trzeci przyprawia sobie melon, czwarty kraje chléb, aby go spożył, skoro chwila nadejdzie. Wszyscy oczekują z niecierpliwością wystrzału działowego, który zajście słońca ogłasza, i post do jutrzejszego ranku przerywa. Wreszcie zagrzmiał wystrzał, a na to hasło ożywiają się wszystkie owe człowiecze posągi, ruszają się wszystkie ręce, żują wszystkie szczęki, a po sposobie, w jaki każdy jé i pije, można poznać, że Muzułmanie tylko z dnia na dzień żyją. Ten miesiąc postu jest ciężką próbą dla osób chorowitych. Zupełny brak wszelkiéj żywności przez dzień a nadmiar jéj pod noc, bywa dla wielu nader szkodliwém. Ztąd śmiertelność tego miesiąca jest zawsze większą niż w innych porach roku. Lecz umierający na post Muzułmanie, idą wprost do nieba, chociażby najgrzeszniéjszymi byli, a to jest przecież sowitą nagrodą. Z osobliwszego powodu nie mogą Kadowie i Mufci nakłonić Mahometanów do przyjęcia europejskiego kalendarza, lubo większa jego dokładność wiadomą dla nich jest rzeczą; atoli każdy gorliwy Muzułmanin wierzy najmocniéj, iż wszelki chrześcijański wynalazek, jedynie od diabła pochodzić może, a zatém byłoby grzéchem korzystać z niego.

Południe w Jerozolimie. Żadnéj ludzkiéj istoty nie widać naówczas w tém mieście — mówi Disraeli w swoim »Tankredzie« — oprócz straży tureckich. Jesteśmy w połowie lata, wszakże żaden wyraz, żaden przykład któréjkolwiek innéj okolicy świata, nie godzien dać wyobrażenia o spiece, o kanikule Jerozolimskiéj. Bengal, Egipt, nawet Nubija, nie idą w porównanie. W tych krajach są drzewa, cień, rzéki, wiatr; lecz Jerozolima o południu w lecie, jest miastem z głazu, w kraju z żelaza, pod spi-

żowém niebem. Wszystko tli wtedy, a to tlenie wraz z jaskrawym blaskiem całéj krainy, wydaje się niewymownie okropném. Czytaliśmy o człowieku, który swój cień utracił; tu zaś cały kraj pozbawionym jest cienia.

Papryka przysmakiem dla pszczół. Pewien bartnik uczynił postrzeżenie, iż pszczoły bardzo rade siadają na workach, w których papryka się znajduje. Ztąd wnioskował on o nieszkodliwości tego owocu. Poczém wpadł na myśl zrobienia następującéj próby: W jesieni, kiedy pszczoły na spoczynek się udają, zmieszał on 5/8 części soli kuchennéj, z 3/8 częściami papryki; wziął z tego szczyptę, jaka we trzech palcach zmieścić się mogła, i wywróciwszy ul spodem w górę, posypał pszczoły starannie tą mieszaniną, tak aby każda cokolwiek jéj dostała. Potém ustawił ul jak zwyczajnie w przeznaczoném na zimowlę miejscu. Pszczoły uspokoiły się w skutek tego nadzwyczaj szybko, zapadły w sen, spotrzebowały daleko mniéj miodu niż zwykle i były nawet przy najtęższym mrozie zupełnie zdrowe. W marcu wziął nasz bartnik znowuż 5/8 części papryki, 3/8 części cienko umielonéj soli kamiennéj, umieszał to razem, i posypał niém pszczoły. Wkrótce zaczęły się one burzyć i złościć; na spodzie, pod ulami, można było dostrzedz pewną sekrecyję, poczém pszczoły bardzo żywo i czynnie pracowały.

Koszta wielkiego okrętu parowego, według obliczenia w pewnym dzienniku francuzkim. Okręt parowy o sile 450 koni potrzebuje w przeciągu 24 godzin 43.200 kilogramów węgli kamiennych; zaczém codzienny wydatek na samo paliwo, licząc beczkę węgli po 50 funtów, czyni 1295 frank. A ponieważ podróż z Europy do Nowego Jorku statkami parowémi w przecięciu w 14 dniach się odbywa, przeto kosztuje paliwo w całéj podróży nie mniéj jak 36.288 frank. Doliczywszy do tego wydatki na utrzymanie okrętu, płacę i wyżywienie osady; okazuje się, że każda podróż statku parowego pomienionéj wielkości, przeszło 50.000 franków kosztuje.

Koszenila rozmnaża się z nadzwyczajną szybkością. I tak, np. niejaki p. V. założył na wyspie Jawa osobny budynek, przeznaczony na chów koszenil, które z Kadyksu sprowadził. W przewozie zdarzył się osobliwszy wypadek, iż wszystkie matki, procz jednéj, wyginęły. Teraz wywóz koszenili z zakładu p. V. czyni rocznie 10.000 funtów, licząc po 60.000 owadów na 1 funt. A zatém na 10.000 funtów potrzeba 600 milijonów koszenil, które wszystkie z owéj jedynéj matki się rozrodziły.

Wieczorynka w gospodzie żebrackiéj w Londynie. Pisma angielskie malują żywémi kolorami obraz pewnéj klasy żebraków londyńskich, którzy z dochodu swego zarobku wcale wesołe życie prowadzą. Mimo serce rozdzierającéj miny, jaką oni na ulicy przybiérają, udając zupełne pogrążenie w rozpaczy; bawią się oni codziennie przez klika godzin jaknajrozpustniéj, i patrzą wtenczas z największą pogardą na biédnego wyrobnika fabrycznego. Za miejsce zgromadzenia służą im osobne gospody, gdzie w bardzo liczném zebrani towarzystwie, całą noc przy rostbifie i pudingu, przy porterze i ale w szumnéj spędzają wesołości. Niekiedy zdarza się im nawet potańczyć; co do gry w karty, i to gry dość wysokiéj — bez téj, żadna wieczorynka się nie obejdzie. Kilku ciekawych przebrało się raz w łachmany żebrackie i chciało być na takiéjże wieczorynce, lecz jako nienależących do towarzystwa, odprawiono ich w wcale niegrzeczny sposób. Jeden z byłych posługaczów w podobnéj szynkowni, który przypadkowie wstąpił w służbę lorda C., odkrył tajemnicę tych gospod żebrackich. — W chwili wstąpienia do swéj szynkowni, składają żebrący wraz z obszarpaną odzieżą wierzchnią, także swój przybrany charakter i występują w naturalnéj postaci. Natenczas można widzieć cuda wszelkiego rodzaju. Ci którzy przed godziną już jedną nogą w grobie stać się zdawali, teraz jakby za dotknięciem róższczki czarodziejskiéj zdrowie odzyskują, i bachantycznie życia używają. W kącie koło drzwi widać 30—40 szczudeł i kul do podpiérania się, które przez cały dzień służbę czyniły i jutro czynić ją będą, ale obecnie zupełnie są niepotrzebne. Tacy, którzy niedawno bez kuli w żaden sposób, a i o kuli tylko z wielką trudnością po ulicy się wlekli; bywają powszechnie najzwinniejszymi tanecznikami; bo taniec, jak to wspomniano, należy do głównych rozrywek tych »wesołych żebraków — *merry beggars*.« W każdéj ręce pełna śklenica, a co chwila szumny toast, zwłaszcza we dnie urodzin którego z zacnych spółbiesiadników. Można tam znaleźć kilkanaście osób, które przez cały dzień były ślepémi, a teraz mają oczy jak u ostrowidza. Nieszczęśliwi, którzy na ulicy tak nędznie wyglądali, że ich wprost do trumny włożyć godziło się; wykrzykują i śpiéwają bezwstydne piosnki. Każdy lekarz zaręczyłby im przynajmniéj 40 lat życia. Tam w rogu siedzi frant, wybijający takt nogami a wrzeszczący tak głośno, że go na końcu ulicy słychać. Jestto ten sam, który przez dzień jak ślimak w kłąb zwiniony, po bruku się czołgał, i każdego przechodzącego rzewnémi tony o wspomożenie błagał. Wówczas zdało się jakby bez najusilniejszego natężenia nie był w stanie głośnego słowa wyjęknąć. Ślepi i chromi bywają zazwyczaj najgorszymi krzykaczami. Wieczorynki te trwają dość późno po północy; a jeżli którym z szanownych gości zda się zbyt niewygodną rzeczą wracać do swego pomieszkania, albo też w skutek zbytniego użycia trunku, nogi statkować nie chcą i wcale służby odmówią; tedy na miejscu jutrzenki oczekują, i wprost z szynkowni na swój zyskowny zarobek wychodzą. Większa część tych oszustów zrobiłaby szczęście na scenie; są oni bowiem bez wyjątku wybornymi mimikami, i częstokroć w sztuce udawania nierównie daléj doprowadzili, niż nie jeden niby — artysta sceniczny, który mnogie lata i studyja na deskach — stracił.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.